

Żeglowanie na pełnym morzu

Dotąd mieliśmy w Polsce raczej dość uporządkowane rozumienie kwestii dalszego rozszerzenia Unii Europejskiej. W ramach tego myślowego porządku było jasne, że to Europa Środka, a prawdę mówiąc – Polska z poparciem krajów bałtyckich, tworzy stabilne, choć mało jak dotąd skuteczne lobby na rzecz akcesji Ukrainy, Mołdawii i sześciu państw bałkańskich, jednak bardziej lub mniej jawny opór Francuzów i Niemców dotąd skutecznie to uniemożliwia – pisze Jan Rokita w najnowszym felietonie

Jasne było również rozumienie przyczyn tej kluczowej różnicy zdań w ramach unijnej Europy. Otóż my, wraz z naszymi regionalnymi aliantami, jesteśmy w naturalny sposób zainteresowani tym, aby odpychać wpływy rosyjskie jak najdalej na wschód, a zarazem marzy się nam zwiększenie politycznego potencjału środkowo-wschodniej Europy wewnątrz Unii, tak by nasze regionalne interesy nabierały znaczenia, a dyktat niemiecko-francuski był choć trochę mniej skuteczny. Tymczasem Francuzi zawsze żywili uraz do idei ekspansji Unii na wschód, niczym diabeł do święconej wody. Zaś Niemcy, którzy teoretycznie winni być owej idei bardziej przychylni, obsesyjnie bali się o swoje pieniądze, no i o to, by zbyt nie rozgniewać ludzi na Kremlu. Mam wrażenie, że tak uproszczony punkt widzenia na rozszerzenie Unii jest do dziś dnia swego rodzaju myślowym sworzniem jednoczącym Polaków, przynajmniej tych o szerszym poglądzie na świat, i to bez względu na światopogląd względem „wojny kulturowej”,

albo partyjne afiliacje platformerskie, czy też pisowskie. Nie ma co kryć, że sam podzielałem taki właśnie pogląd przez długi czas, niemal aż do ostatnich tygodni.

Tymczasem jednak widać, że cała rzecz gmatwa się politycznie i staje się coraz mniej klarowna. Oto właśnie od kilku tygodni mnożą się nie tylko deklaracje słowne, ale i coraz mocniejsze posunięcia realne, sugerujące, iż to właśnie Berlin wraz z Paryżem nagle wzięły się energicznie za sprawę rozszerzenia Unii. Zaś Europa Środka, a już zwłaszcza Polska, nie może się temu nadziwić i popada w jakiś polityczny stupor. Zaczęło się wszystko od wycofania francuskiego weta wobec Zachodnich Bałkanów, ale latem tego roku mogliśmy już obserwować wzmożoną aktywność niemieckiej dyplomacji na Wschodzie, zwłaszcza na Ukrainie. We wrześniu sprawy stały się już wyraźniejsze, gdy na zebraniu Rady Unii Berlin i Paryż wystąpiły z oficjalną deklaracją wspólnej intencji, iżby doprowadzić do rychłej reformy instytucjonalnej Unii i rewizji traktatów europejskich, jako warunku rozszerzenia. I już na październik zaplanowano podwójny szczyt europejski w Madrycie: najpierw „normalny” dla przeprowadzenia debaty nad rozszerzeniem Unii w gronie państw członkowskich, a zaraz potem „nienormalny” – tzn. z udziałem 46 państw Europy, po to, by zyskać wstępną aprobatę dla przyszłej kaskadowej wizji politycznej organizacji całego kontynentu, jaką od dawna głosi w swych niezliczonych mowach Macron, a do której ostatnio przekonał się chyba również Scholz.

Obaj przywódcy sprawiają jednak takie wrażenie, jakby się obawiali wprost występować wspólnie z gotowym projektem reform, dlatego starym i znanym dobrze sposobem, używają do tego celu swoich ekspertów. Bańka prysła 18 września, gdy w Paryżu i Berlinie

jednocześnie opublikowano „Raport Dwunastu”, czyli 60-stronicowy dokument, zamówiony wspólnie przez oba rządy i opracowany przez francusko-niemieckich ekspertów pod kierunkiem prof. Oliviera Costy z paryskiej Sciences Po i prof. Daniela Schwarzer z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Raportowi nadano poetycki tytuł (który zapewne wymyślili Francuzi, bo Niemcy tego by nie wymyśli): „Żeglowanie na pełnym morzu: reformowanie i rozszerzenie Unii Europejskiej na XXI wiek”. A zaraz potem odbyło się bardzo teatralne kijowskie zebranie unijnych szefów dyplomacji, pod wyraźnymi auspicjami dwóch pań: minister Colonna i minister Baerbock (*nota bene* idiotycznie zbojkotowane przez ministra Raua), po czym unijni szefowie dyplomacji natychmiast zabrali się do rychtowania papieru obiecującego kolejne wielkie rozszerzenie Unii na wschód i na południe, na użytek październikowego, madryckiego podwójnego szczytu.

Tej lawinie rozszerzeniowych zdarzeń, zaaranżowanych z inicjatywy Berlina i Paryża, towarzyszy (jak nietrudno się domyślić) spektakularna zmiana języka, jakim dygnitarze z Brukseli i całej zachodniej Europy zaczęli mówić o rozszerzeniu. Nie ma już nawet śladu po sceptycyzmie Macrona, który dopiero co przecież wieszczył, że Ukraina w Unii to rzecz na kilka dziesiątków lat i na razie o niejasnym finale. Za szefem Rady Europejskiej Belgiem Michelelem wszyscy powtarzają teraz datę 2030 roku, a klimat owych niezliczonych deklaracji, jakie padają w ostatnich dniach, może najlepiej obrazują słowa komisarz Vestager: „Unia zmieniła się i nie ma od tego odwrotu, zgasiliśmy za sobą światło, a przed nami jedyna droga” – mówi z patosem duńska komisarz ds. konkurencji. Owa jedyna droga, to oczywiście Unia nie tylko z Ukrainą, ale i całą kohortą małych państw bałkańskich, od lat zabiegających o członkostwo, bez większych nadziei, że kiedykolwiek zostanie to potraktowane poważnie.

Natura tego unijnego zwrotu, zaordynowanego z Paryża i Berlina, rozjaśnia się trochę, jeśli poczytać ów „Raport Dwunastu”, który, jak do tej pory, zastępuje bardziej szczegółowe deklaracje obu rządów. Myliłby się bowiem ktoś, kto by chciał w nim znaleźć jakieś przełomowe intelektualno-polityczne koncepcje na urządzenie Europy, w sytuacji gdy na wschodzie trwa wojna, od południa szturmują afro-azjatyccy imigranci, a od wewnątrz narasta siła ruchów i partii wrogich wobec aktualnego urzędnika Unii. Trafną diagnozę zawartości owego franko-niemieckiego planu reformatorskiego znalazłem w tekście opublikowanym na łamach kwartalnika „Internationale Politik”, pióra analityka z Niemieckiej Rady Stosunków Zagranicznych (DGAP) Rodericka Parlesa. Pisze on, iż „Raport Dwunastu” to w gruncie rzeczy zestawienie wszystkich niemieckich i francuskich „hitów” na reformowanie Unii, znanych od lat i czasem już wielokrotnie odrzucanych. Po czym z sarkazmem dodaje: „Paryż i Berlin mają od dawna ustalony zestaw swoich rozwiązań dla Unii i ciągle szukają jakiejś okazji, która umożliwiłaby im wprowadzenie ich w życie”.

Faktycznie wszystko to już od dawna dobrze znamy, z tym tylko zastrzeżeniem, że część owych pomysłów zawsze pojawiała się jako idee francuskie, a część – jako alternatywne idee niemieckie. Obecne odkrycie polega tylko na tym, by w ramach francusko-niemieckiej ofensywy, oba niezgodnie chodzące dotąd konie zaprząć teraz do jednego wozu i popędzić naprzód. Czego tam więc nie ma! Są i cztery kręgi integracji, i duży unijny budżet z własnymi dochodami i uwspólnotowionym długiem – czyli spełnione naraz największe francuskie marzenia. Ale i likwidacja prawa weta oraz ograniczenie liczebności unijnej Komisji i Parlamentu, a przede wszystkim ścisłe uzależnienie wszelkich funduszy od respektu dla „Rechtsstaat” – czyli wypełnienie najskrytszych niemieckich marzeń o dyktowaniu Europie

tego, co dobre i nagradzane przez Unię, a co złe i przez Unię karane. Najwyraźniej wynajęty przez oba rządy zespół niemieckich i francuskich profesorów dostał zadanie, aby nie prowadzić żadnych sporów, ale jakoś sprytnie wykazać, iż ze starych i znanych pomysłów Paryża i Berlina można sklecić nowość: jednolitą franko-germańską doktrynę reformy Europy.

Powtarza się więc scenariusz z początku wieku, kiedy to Chirac i Schroeder, w przeddzień rozszerzenia Unii o Europę Środkową, zapowiedzieli (przy okazji 40-lecia Traktatu Elizejskiego), że chcą we dwóch zabrać się za nowe urządzenie Europy. Po czym zręcznie wykorzystali pretekst rozszerzenia, aby przeforsować w pechowej Konstytucji Europejskiej, a potem w Traktacie Lizbońskim swoją wolę i własne narodowe interesy. Niemiecka zielona minister ds. europejskich pani Lührmann powtarza teraz to samo. Mówi: „To jasne, że rozszerzenie i reforma Unii idą w parze i od tego musimy teraz wszystko zacząć”. Widać wyraźnie, że nagły niemiecko-francuski entuzjazm dla rozszerzenia Unii wziął się stąd, iż w obu stolicach odkryto, że z rozszerzenia można zrobić świetną pałkę dla wymuszenia zgody na stare i odrzucane od lat pomysły Berlina i Paryża na urządzenie Europy. Co więcej, że jeśli owe pomysły się uda w ten sposób przeforsować, a do kolejnego dużego rozszerzenia w końcu nie dojdzie, to nawet lepiej. A jeśliby już dojść musiało, to zakwalifikuje się owych nowych członków do wpisanego w końcu do traktatów drugiego, albo trzeciego kręgu integracji. Spora część Europy Środkowej i Wschodniej już decyduje się przystać na taki *deal* albo szantaż, widząc w nim jedyną szansę na urzeczywistnienie marzeń o geopolitycznej przebudowie naszego regionu i rozciągnięcie Zachodu na wschód. Wygląda więc na to, że Polska, dokładnie tak samo jak przy Konstytucji Europejskiej, a potem Traktacie Lizbońskim, już wkrótce znajdzie się

pod rosnącą i bardzo dyskomfortową presją. Zresztą to nigdy dla nas nie jest dobrze, jak Niemcy z Francuzami wybierają się wspólnie „żeglować na pełnym morzu”.

Jan Rokita

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
